

Mieczysław Szerer

Kilka uwag o sztuce przemawiania w sądzie

Palestra 8/3(75), 24-28

1964

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ponowanych trzech delegatów na zjazd nie wybrano „z powodu braku chętnych kandydatów”.

Zamieszczone w prasie ówczesnej sprawozdania nie oddają atmosfery, jaką musiała wywołać dyskusja nad wnioskiem o przystąpieniu do Zjednoczenia Związków. O temperaturze tych obrad świadczą późniejsze wypadki. 20 grudnia ogłoszony zostaje w „Kurierze Warszawskim”¹¹¹ nadesłany do redakcji list Wydziału Związku Prawników Postępowych z oświadczeniem o wystąpieniu ze Związku Adwokatury Polskiej wobec jego „wstecznego stanowiska w stosunku do obecnego ruchu społecznego i politycznego”. Następnego dnia w sali Sądu Okręgowego zbiera się grupa adwokatów w liczbie kilkudziesięciu i powołuje Związek Demokratyczny Adwokatury. Wymienieni adwokaci tym mają się różnić od członków Związku Prawników Postępowych, „że nie uznają pewnych haseł ich programu, który uważają za partyjny”¹¹². Związek Demokratyczny Adwokatury postanawia przystąpić do Zjednoczenia Związków, pozostając nadal w Związku Adwokatury Polskiej oraz w jego Oddziale Warszawskim¹¹³.

Wobec braku danych co do osób skupionych w Związku Demokratycznym Adwokatury, możemy jedynie przypuszczać, że Związek Postępowych Prawników skupiał zwolenników SDKPiL, natomiast Związek Demokratyczny zgromadził tych przedstawicieli palestry warszawskiej, którzy stali na lewo od Narodowej Demokracji. Nie znane są nam dalsze losy Związku Demokratycznego. Może rozpadł się w nasilającej się reakcji 1906 r., może uczestników jego pochłonęła praca w ujawnionym w końcu 1905 r. Kole Obrony w sprawach politycznych.

Ze znanych nam faktów nie wynika, by akces do Zjednoczenia Związków został dokonany. W pierwszej połowie 1906 r. rejestrujemy jedynie uczestnictwo w Zjednoczeniu, zresztą krótkotrwałe, Związku Prawników Postępowych. Następny rok rewolucji jest schyłkiem półjawnej działalności związków inteligenckich, rokiem rozpadania się zjednoczeń. Wydanie przez władze carskie prawa o stowarzyszeniach, a także wzmagające się represje polityczne powodują legalizację szeregu poczynań. Ale zanim zajmujemy się jawnymi związkami, garść wiadomości o wspomnianym Kole Obrony.

(dokończenie nastąpi)

MIECZYŚLAW, SZERER

Kilka uwag o sztuce przemawiania w sądzie

Szeroko na świecie akcje oratorstwa sądowego stoją dziś nisko, bądź co bądź niżej niż jeszcze z początkiem tego stulecia. Zmienił się w ogóle styl przemawiania, a już w sądzie patrzano by ze zdumieniem na mówcę, który by pozwalał sobie na wloty retoryki krasomówczej i usiłował nią „porwać za sobą” słuchaczy. Gdzież te czasy, kiedy to głośny w połowie XIX wieku adwokat ir-

¹¹¹ „Kurier Warszawski” 1905 nr 351, s. 10.

¹¹² „Kurier Poranny” 1905 nr 337, s. 2.

¹¹³ „Kurier Warszawski” 1905 nr 353, s. 2; „Gaz. Sąd. Warsz.” 1905 nr 52, s. 843.

landzki Sheil, chcąc wybronić swego klienta przed deportacją, próbował wzruszyć swe audytorium, tak oto przedstawiając groźące pożegnanie z rodziną:

„Zanim wsiądzie na wóz, który zawiezie go do portu, pozwolą mu pożegnać się z żoną i dziećmi. Kobieta przywrze do jego piersi i podczas gdy ramiona jej będą obejmować jego szyję, gdy szlochać będzie rozpaczliwie na jego łonie, gdy jego dzieci, które zwykły wdrapywać mu się na kolana, dopraszając się pieszczot... nie, nie będę malował dalej tego smutnego obrazu; uzupełni go wasze własne wzruszenie.”

Może jeszcze w bardzo prowincjonalnych sądach Stanów Zjednoczonych, gdzie obrońcy nie wahają się urządzać scen czysto teatralnych (sadowiąc w pierwszym rzędzie ław publiczności rzekome żony oskarżonych z rzekomymi jego dziećmi przy piersi), można jeszcze spotkać się z pseudoromantyczną koturnowością adwokata lub oskarżyciela.

Na ogół krasomówstwo sądowe rozwijało się i kurczyło w prostym stosunku do liczebności sędziów, których miało oczarować. Właśnie oczarować! Trzeba bowiem odróżniać krasomówstwo od mniej lub więcej naturalnej elokwencji. Ta druga ułatwia przekonanie słuchaczy, ukazanie ich intelektowi pewnej racjonalnej drogi rozumowania; tamto w najlepszym razie (tzn. jeśli nie popada po prostu w demagogię) usiłuje rozbudzić w słuchaczach emocje i pod ich zasłoną przewieźć — a raczej przemycić — tezę mówcy. Otóż wiadomo, że małe audytorium trudniej niż liczne ulega emocjom i łatwiej mu z nich ochłonąć. Toteż nawet w krajach, które mają sądy przysięgłych, inny był i jest styl przemawiania przed tuzinem przysięgłych, a inny, bez porównania oszczędniejszy, zwracania się do trzech sędziów na rozprawie odwoławczej.

Czy należy tego żałować? I tak, i nie. Krasomówstwo może być dobre i kiepskie (tanie, bombastyczne, przeładowane sztuczną biżuterią słowną). Dobre — jest sztuką piękną, może wywoływać wrażenia estetyczne wysokiego rzędu. To była *ars oratoria*, to, czego Kwintylijan uczył swych wychowanków. Ona to nadawała barwę i dźwięczność temu, co stanowiło „gry rozmowne” przy biesiadach renesansowych uczonych.

Zaniku tej krasomówczej sztuki szkoda — tej pełnej polotu, często kształtowanej w natchnieniu, a przede wszystkim pozwalającej językowi ojczystemu ukazywać bogactwo i elegancję słownictwa. Oczywiście nie można żywcem przenosić w obecną epokę form krasomówstwa choćby sprzed kilkudziesięciu lat. Ale takie formy, które utrzymywałyby się na poziomie dzisiejszych kryteriów dobrej literatury?

Gdy pomyśleć, co z mowy sądowej potrafił uczynić Eugeniusz Smiarowski, artysta słowa w każdym calu (by jego jednego wymienić ze współczesnych mu wielkich mówców sądowych) — to trzeba uznać, że krasomówstwo może dostarczać wielkich estetycznych przeżyć nawet cynicznemu skądinąd dzisiejszemu słuchaczowi.

*

Z drugiej strony, jeśli krasomówstwo utraciło wiele ze swych dawnych walorów, to zdyscyplinowana elokwencja pogłębiła swe możliwości. Stara się ona teraz nie tyle o gładkość i polerunek, nie tyle o płynność pasaży retorycznych, co o zwartość argumentacji i jasność wywodu. Wymowa stała się oszczędna, wolna od zbędnych ozdobników, rozmiłowana w klarowności i dobrym rozplanowaniu. Sama skupiona w sobie, nie rozprasza uwagi słuchacza wycieczkami w krainę

czarów, lecz wiedzie go prosto tam, dokąd chce go przywieść. Impresjonistów krytykowano często, że świetnością barw pokrywają niedostatki rysunku. Rozumna współczesna elokwencja rezygnuje z kolorystyki na rzecz wyrazistego, czarno-białego rysunku. Zapewnia jej to ogromną korzyść: słuchacz jest zniewolony nie tylko w pierwszej chwili, ale także gdy przebrzmi dźwięk słów, a pozostanie pamięć jasnego wywodu.

„Ostatecznie” — pisał przed 40 laty autor antologii angielskich przemówień sądowych — „celem każdej szczerzej mowy jest nie wzburzanie namiętności lub schlebianie zmysłom, lecz przekonanie słuchaczy o prawdzie”. Nie ulega wątpliwości, że dzisiejszy typ elokwencji bez porównania lepiej służy odślanianiu prawdy niż dawniejsze krasomówstwo: uwodzicielskie i czyniące z dziur w rozumowaniu butonierki na kwiaty.

Ta ascetyczna elokwencja jest niewątpliwie trudniejsza i wymaga zrezygnowania z szerokiego poklasku. Ale w sądzie współczesnym osiąga swój cel: pozwala mianowicie oskarżycielowi lub obrońcy przekonywać o prawdzie. Co się zaś tyczy sędziego, to temu poklask jest z pewnością niepotrzebny.

Tu dochodzimy do kwestii, o której często się zapomina, gdy mowa o oratorstwie w sądzie: do wymowności sędziego.

*

O elokwencji sędziego myśli się najmniej, gdy mowa o sztuce przemawiania w sądzie. Toteż jest ona stosunkowo najbardziej zaniedbana. Co prawda nie ma wiele sposobności do jej rozwinięcia się w krajach, gdzie nie ma ławy przysięgłych, a więc brak też konieczności wygłoszenia przemówienia końcowego, w którym przewodniczący może zabłysnąć kunsztem syntezy wyników przewodu na użytek przysięgłych. Pozostaje jednak dziedzina jakże często traktowana po macoszemu: ustne uzasadnienie orzeczenia.

W publicystyce podkreśla się stale znaczenie ustnego uzasadnienia wyroku. W praktyce uzasadnienie bywa często pobieżne („mówię, bom smutny i sam pełen winy”). Są po temu przyczyny przedmiotowe. Przede wszystkim przeładowanie wokand sprawia, że sędziemu, gdy odczytał sentencję wyroku, spieszo do podjęcia następnej sprawy. Toteż chętnie ogranicza się do zasygnalizowania kilku punktów, co do reszty salwując duszę sakramentalnym oświadczeniem, że „szczegóły w pisemnym uzasadnieniu”. W ten sposób giną możliwości argumentowania *ad hominem*, jakie zawiera ustne zwrócenie się sędziego do oskarżonego i do słuchaczy na sali.

Prawdą jest też, że sprawy (także w instancjach odwoławczych) bywają tuzinkowe. Trudno w takich wypadkach sędziemu zdobyć się na zapal do wylewnego tłumaczenia się z myśli, które kierowały jego orzeczeniem. Wydał podobnych orzeczeń setki. Wszystko w konkretnej, seryjnej sprawie wydaje mu się jasne i proste, ma już na te sytuacje od dawna ukute zwroty. I tak uzasadnienie ustne przepływa migiem — bez wysiłku sędziego, ale i bez wrażenia na słuchaczach.

Mimo wszystko jednak, jakkolwiek częstotliwość zjawiska zaniedbywania ustnego uzasadnienia można sobie wytłumaczyć istniejącymi warunkami, jasne jest chyba, że nie można tego zjawiska uznać za pożądane. Gdy zaś zdarzy się dłuższe, szczegółowe uzasadnienie ustne, to najczęściej nie jest to przemówienie, lecz odczytanie wypracowanego przygotowanego w ciągu trzech dni, na które odłożono ogłoszenie wyroku. Ginie wtedy magia bezpośredniej mowy, jej pewna

nierówność, a bodaj nawet lekka chropowatość — które jednak wywołują wrażenie spontaniczności, a przeto i szczerości.

Bądź co bądź więc wśród wymagań stawianych dziś u nas sędziemu nie ma żądania, by posiadał talent mówcy albo żeby chociaż rozwijał w sobie umiejętność posługiwania się słowem mówionym. A szkoda. Bo dobrze wypowiedziane ustne uzasadnienie ma nie tylko dużą wartość dydaktyczną dla postronnych słuchaczy na sali. Jest też swego rodzaju wiatykiem, który człowiek skazany zabiera ze sobą w swą drogę poprawczą. Wolno wątpić, czy odsiadujący karę będzie często odczytywał sobie doręczoną mu odbitkę wyroku (nieraz nieczytelnie wykonaną na niezbyt impresjonującej bibułce) i rozpamiętywał jej treść. Natomiast żywe słowa sędziego mogą mu długo brzmieć w uszach — tym dłużej, im lepiej były dobrane i im prościej trafiały do umysłu skazańca. Prawdziwa elokwencja to przecież nie jakaś szczególna miódopłynność mowy, ale właśnie umiejętność prowadzenia jej po najkrótszej drodze między mówcą a słuchaczem: wtedy treść jej najszybciej trafia do przekonania i pozostawia najtrwalszy ślad.

Krótko wspomnijmy, że przykuwające uwagę ustne uzasadnienie wyroku ułatwia zadanie prasowego sprawozdawcy sądowego. Wiadomo, że pojawiające się w dziennikach informacje o procesach karnych nieczęsto są na wysokim poziomie. Notatki bywają dość stereotypowe, kronikarskie, komunikują — owszem — wiadomości, ale rzadko kiedy dobrze ujmują prawno-społeczną esencję sprawy. A właśnie ustne uzasadnienie, przedstawiając przebieg sprawy przejrzysto i z dobrym rozłożeniem akcentów krytycznych, mogłoby pomóc dziennikarzowi w napisaniu prawdziwie pożytecznego sprawozdania.

*

Chciałbym tutaj wskazać na pewną nie dość dostrzeganą okoliczność, która wiąże się z sędziowską sztuką przemawiania, objawioną w ustnym uzasadnieniu wyroku. Wydaje mi się mianowicie, że powaga, jaką sędzia cieszy się u laików, zależy w znacznej mierze od sposobu, w jaki uzasadnia on ustnie swe orzeczenia.

Nawiasowo powiem, że sprawa budzenia autorytetu sędziego wśród społeczeństwa jest u nas bardzo zaniedbana. Normalnie, w tzw. szerokich kręgach publiczności, autorytet ten przybiera postać obawy przed zetknięciem się z sędzią na sali sądowej. Pod tym względem jednak prokurator — mówiąc językiem sportowym — bije sędziego; po wtóre zaś chodzi nie o to, by społeczeństwo bało się sędziego, ale o to, by go poważało, by widziało w nim autorytet moralny.

By do tego doszło, społeczeństwo musi przede wszystkim znać swoich sędziów, musi o nich wiedzieć. My zaś robimy jeśli nie wszystko, to przecież bardzo wiele, by utrzymać anonimowość sądownictwa. W szczególności staramy się podtrzymywać fikcję, że wyroki zapadają zawsze jednomyślnie, i fakt, że w jakiejś sprawie jeden z sędziów miał odrębne zdanie, osłaniamy niby rzecz wstydliwą.

Trochę się pod tym względem poprawiło w ostatnich czasach, ale nie zupełnie. Indywidualizują sędziów adwokaci i prokuratorzy, którzy stykają się z nimi w codziennej pracy. Dla ogółu jednak sędziowie są osobnikami zamiennymi; co najwyżej jedni mają opinię surowych, drudzy mniej surowych. Otóż chwila, w której sędzia ustnie uzasadnia wyrok, to jedyny moment, kiedy przemawia on „na zewnątrz”, kiedy może okazać swą osobowość, kiedy — krótko mówiąc — może przestać ukazywać się jedynie jako żywy wykładnik kamiennego „wymiaru spra-

wiedliwości", natomiast może stawać się przedstawicielem humanizmu prawa. Wtedy może rzeczywiście pouczać społeczeństwo, a nawet mu — w najlepszym tego słowa znaczeniu — imponować. Nie omylę się chyba, gdy powiem, że sędziowie nie korzystają zbyt często z tej okazji zyskania popularności połączonej z respektem.

Tu znów nasuwa się sposobność przeciwstawienia dawnego krasomówstwa elokwencji w dzisiejszym stylu. Krasomówstwo zawiera zawsze wycieczki na boki (choćby w krainę piękna, często zresztą sztucznego). U sędziego byłoby to, wedle naszego dzisiejszego odczuwania, nieznośne, rażąco zbędne. Pod tym względem można w całości odnieść do sędziego pouczenie Wellingtona, przytoczone przez B.W. Kellyego we wstępie historycznym do książki *Famous advocates and their speeches* (Londyn 1949). Gdy młody poseł do Izby Gmin prosił go o radę, jak przemawiać w tym dostojnym zgromadzeniu, Wellington miał odpowiedzieć: „Powiedz, co masz do powiedzenia, nie cytuj po łacinie i siadaj”.

Złotousty sędzia to dla nas *contradictio in adiecto*. Natomiast sędzia, który potrafi władać słowem trafnym, użytym w służbie zwartej argumentacji — taki sędzia przekona o prawdzie swego orzeczenia. Nie trzeba tłumaczyć, jakie to ma ogromne znaczenie.

*

Na zakończenie: jak kwestia sztuki przemawiania w sądzie wygląda w świetle pomysłów wpuszczenia telewizji na salę rozpraw? Pomysły takie się wylęły.

Jest jasne, że wpuszczenie telewizji na salę sądową oznaczać będzie całkowitą zmianę atmosfery rozprawy. Nie tylko ze względu na nieznośne błyskanie jaskrawego światła, uwijanie się operatorów po sali i szmerek kamery (znamy to z sali koncertowej). Przede wszystkim dlatego, że wraz z kamerą telewizyjną wjedzie na salę sądową sztuczność, powiedzmy wyraźnie: teatralność i pozerstwo. Cztery ściany, które teraz zamykają przestrzeń sali, stwarzając wrażenie kameralności, rozsuna się jak kulisy i rozprawa toczyć się będzie na ogromnym rynku jako punkt programu widowiskowego. Jakże łatwo będzie mógł teraz zmieniać się adresat przemówień.

Niemcy mają doskonałe określenie na przemawianie demagogiczne. Powiadają, że jest to mówienie przez okno na ulicę. Czy są wątpliwości, że telewizja na sali sądowej to zachęta do mówienia „przez okno”? Doszliśmy szczęśliwie do tego, że prokurator i obrońca starają się przemawiać do trzech osób za stołem sędziowskim jak najbardziej rzeczowo, co bynajmniej nie jest równoznaczne z suchością wywodów. Przy telewizji będą oni oczywiście, w dalszym ciągu usiłowali przekonać sąd rzeczowością argumentów. Nie wydaje się jednak pewne, że zawsze poprzestaną na tym i że świadomość, iż mają tłumnych widzów i słuchaczy, nie powstrzyma ich od dodatków *ad usum* tych widzów i słuchaczy.

Co gorsza, istnieć będzie niejako urzędowa zachęta do takich dodatków świecidełkowych. Nie po to przecież puszczałoby się rozprawę na telewizję, by wielotysięcznej rzeszy widzów zaprezentować dźwiękanie oskarżycieli czy obrońców. Oczekiwać się będzie od nich kwiecistości i soczystości wymowy, która by pozwoliła rozprawie sądowej rzuconej na szklany ekran nie pozostawać zbyt daleko w tyle za „Kobłą”.

Nie sądzę, żeby tędy wiodła droga do umacniania majestatu sądownictwa karnego.